

# TRANSYLVANIA 2008.

Autorzy: Ola & Jurek

## SKĄD TEN POMYSŁ

Termin wyprawy był oczywisty – zbliżał się ulubiony weekend wszystkich Polaków, czyli tzw. długi weekend majowy. Jedynie, co do miejsca wyprawy prowadziliśmy burzliwe dyskusje. Nasze założenia były jasno sprecyzowane – chcieliśmy pośmigać po fajnych winklach, nacieszyć się przy okazji zabytkami z prawdziwego zdarzenia i nie spędzić połowy wyprawy na dojazdach "do" i "z" celu. Miejsc gdzie można takie założenia wcielić w życie jest w Europie, w promieniu około 1500 km od Warszawy, co najmniej kilka. W końcu wybór padł na Rumunię. Rzuciliśmy się w wir czytania przewodników i relacji dostępnych na internetowych portalach podróżniczych. Szybko okazało się, że nasz limit czasowy – 9 dni – nie pozwoli na obejrzenie wszystkiego, co oferuje ten niezwykle różnorodny kraj. Ponieważ nie chcieliśmy "trzaskać jedynie kilometrów" i zwiedzać po łebkach, postanowiliśmy ograniczyć się do Transylwanii i ewentualnie części Wołoszczyzny. Jednym z głównych motywów takiego wyboru była, poza możliwością pośmigania górkimi drogami w Karpatach, chęć poznania tajemniczej kultury Sasów i Szeklerów, o której niewiele wiedzieliśmy, a która wydała nam się pasjonująca. Resztę kraju, w szczególności Bukowinę, odłożyliśmy na następny raz.

# BYLE DO PRZODU

Wyprawa zaczyna się od kaprysu Księżniczki Piotrka (czyli Afryki Piotrka, kolegi który z nami pojechał), która pod Rzeszowem nagle przestaje dawać oznaki życia. Wsiada elektryka. Nie mogę uwierzyć własnym oczom. Ładnie się zaczyna - myślę! Przecież Afryki nigdy się nie psują. To najbardziej niezawodne motocykle jakie znam. Jurek bierze Piotrka i jego Księżniczkę na prowizoryczny hol i poboczem dotaczają się do najbliższej stacji. Na szczęście okazuje się, że wysiadł tylko główny bezpiecznik. Dzięki "złotym rączkom" Jurka, cała naprawa trwa zaledwie kilka minut. Jednak Afryki się nie psują, jak mogłam w to zwątpić! Szybko ruszamy w dalszą trasę. Ponieważ jest to początek długiego weekendu majowego, zdecydowanie unikamy głównych dróg. Przez Barwinek i potem urokliwe, kręte drogi Słowacji docieramy na Węgry, do Tokaju. Tu postanawiamy przenocować i przy okazji posmakować lokalnych specjałów.



Okazuje się, że ta noc należy do Polaków, którzy zajęli chyba wszystkie pensjonaty w miasteczku. Spotykamy kilka wypraw samochodów terenowych, wybierających się na off-road po bezdrożach rumuńskich. Motocyklistów akurat nie widać, za to w drodze powrotnej poznamy kilkuosobową ekipę z Lublina wracającą z Ukrainy i Rumunii. Wieczorem znad stołów zastawionych pikantnym jedzeniem i Tokajem słychać tylko język polski i debaty kto, czym i na jak dzikie bezdroża się wybiera. Trochę zaczynam się obawiać, że w każdej najmniejszej wiosce w Karpatach będzie na nas czyhał Polak i nawet nie będzie okazji zagłębić się w lokalne klimaty.

Następnego dnia wyruszamy z samego rana, żeby zdążyć przed tłumem podążającym w tę samą stronę co my. Wyspani pędzimy na granicę węgiersko – rumuńską, którą mamy przekroczyć na wysokości Oradei. Z przyzwyczajenia i chyba wrodzonej niechęci do głównych dróg, wybieramy tylko te boczne. Granicę przekraczamy właściwie z marszu. Czuć, że nie wyjechaliśmy z Unii Europejskiej. Tradycyjny sposób przekraczania granic, do jakiego byliśmy przyzwyczajeni w tej części Europy (dużo czekania i papierkowej roboty), w przypadku Rumunii odszedł już w zapomnienie.



Uśmiechnięty pogranicznik jest zainteresowany tylko przejrzaniem pieczętek w naszych paszportach i z zaciekawieniem rozpytuje jakie kraje i jakimi środkami lokomocji zwiedzaliśmy. Niezależnie od oficjalnej kontroli, przekroczenie granicy od razu można też rozpoznać po stylu jazdy kierowców. Rumuni jeżdżą bardziej agresywnie i "z większą fantazją" niż Węgrzy, choć do

azjatyckiego chaosu jeszcze daleko. Na ulicach coraz częściej słychać typowe dla południowych klimatów klaksony - stały element porozumiewania się kierowców.

# PRZEJAZDEM PRZEZ BANAT I KRISZANĘ

Od granicy do Oradei, pierwszego miejsca w Rumunii, które mamy odwiedzić, jest zaledwie kilka kilometrów. Po wjeździe do miasta trochę się gubimy i nie chcący wjeżdżamy na podmiejskie wzgórze widokowe. Wszyscy kulturalnie udają, że tak miało być. Kiedy tak krążymy w poszukiwaniu centrum, dołącza się do nas "obstawa". Chyba wpadliśmy w oko młodym chłopakom z jakiegoś kabrioleta, z którego słychać potężne basy. Nie chcą nas odstąpić na krok i robią wokół nas huk co niemiara. Na szczęście udaje nam się uwolnić od kłopotliwej obstawy i dojeżdżamy pod - jak nam się wydaje - główny plac miejski z wielkim kościołem katolickim na samym środku.



Oradea była kiedyś religijnym centrum Królestwa Węgierskiego, do którego należały m.in. tereny dzisiejszego Banatu i Kriszny oraz Transylwanii, funkcjonującej wtedy pod nazwą Siedmiogrodu. Warto nadmienić, że kościoły katolickie są w prawosławnej Rumunii rzadkością i jeżeli w ogóle się zdarzają, to przede wszystkim w ziemiach historycznie związanych z Węgrami.

W centralnym, więc zakładamy że bezpiecznym miejscu parkujemy nasze Księżniczki. Jeszcze nie bardzo jesteśmy przyzwyczajeni do rumuńskich klimatów, więc z przeczności spinamy motocykle potężnym łańcuchem, który Jurek taszczy ze sobą z Polski. Zmieniamy motocyklowe buty na sandały (mimo że jest maj robi się naprawdę gorąco) i rzucamy się w wir zwiedzania.

Stary rynek w Oradei jest ładnie odnowiony. Pomimo, że jeszcze wiele funduszy trzeba będzie zainwestować, zanim to miasto osiągnie końcowy poziom renowacji, jest na czym oko zawiesić. Robimy rundkę wokół starówki.



Wchodzimy do najważniejszego zabytku Oradei, prawosławnej cerkwi „Pod Księżycem”. Jej nazwa związana jest ze specjalnym mechanizmem umieszczonym w wieży cerkwi, wskazującym fazy księżyca. To



najładniejsza budowla w całym mieście. Jakoś dziwnie szybko, biorąc pod uwagę panujący upał, robimy się głodni. Przychodzi czas zgłębić pierwsze tajniki rumuńskiej kuchni. W końcu trzeba zacząć próbować słynne ciorby (zupy), mamałygę i słodkie orientalne desery.

#### Ciekawostki - kuchnia rumuńska

Kuchnia rumuńska jest mieszanką wielu wpływów, krzyżujących się właśnie na terytoriach Rumunii. Można w niej znaleźć słodkie desery w orientalnym stylu, gęste zupy (ciorby), przypominające te podawane w Rosji, z których najbardziej popularna jest ciorba de burta (flaki), uważane przez wielu Rumunów za danie narodowe gołąbki (sarma), jak i wszędobylską mamałygę przyrządzaną z mąki kukurydzianej. Wiele potraw robi się z mięsa, głównie wieprzowiny, która im bardziej jest tłusta, tym lepiej. W Transylwanii prym wiedzie tradycyjny, węgierski gulasz.

W knajpie po angielsku ciężko się dogadać, ale z pomocą przychodzi język włoski. Kilka lat nauki tego, nie najbardziej popularnego języka, zaczynają owocować. Nieraz podczas naszej wyprawy mam okazję posłuchać Włochów rozmawiających z Rumunami, każdy w swoim języku i świetnie się rozumiejących. Okazuje się, że „parlare italiano” jest w Rumunii bardzo przydatne.

# PRZEZ GÓRY APUSENI

Czas nas goni. Z pełnymi brzuchami wracamy do Księżniczek i ruszamy w dalszą drogę. Wyjazd z Oradei na południe drogą krajową nr 76 nie należy do najprzyjemniejszych. Nawierzchnia jest kiepska jak na standardy rumuńskie. Wbrew obiegowej opinii duża część dróg w Rumunii, i to nie tylko tych krajowych, jest całkiem dobra. Zaryzykowałabym powiedzieć, że lepsza niż w Polsce. Na nasze Afryki jest to aż nadto. Krajówkę nr 76 warto jednak omijać: zła nawierzchnia z dużą ilością tirów i wąska droga bez pobocza to nie jest to, co motocykliści lubią najbardziej. Szybko postanawiamy zmienić kurs, i wjechać boczną drogą w Góry Apuseni.

## Ciekawostki - góry Apuseni

Góry Apuseni to inaczej Karpaty Zachodniorumuńskie. Choć góry w tym paśmie nie osiągają wielkich wysokości (najwyższy szczyt Curcubata Mare, znany również pod nazwą Bihor ma 1849 m npm), warto je odwiedzić. Rejon ten jest uważany za najpiękniejszy obszar krasowy całych Karpat. Niepowtarzalna kultura miejscowych górali zachowała się tu do dziś. Cały czas funkcjonują tu drewniane domostwa, często położone na wysokości nawet 1200 m npm, stare młyny wodne, tradycyjne żurawie i furmanki zaprzęgnięte w konie lub czasem woły. Nie ma lepszego miejsca niż Góry Apuseni, jeśli chce się podpatrzeć codzienne, tradycyjne życie na góralskiej wsi.

Z przeczytanych przed wyjazdem relacji wynika, że to bardzo przyjemny rejon do śmigania na motocyklach, co się potwierdza w 100%. Nasza droga wije się serpentynami na wysokość prawie 1200 m npm. Każdy delectuje się jazdą w otoczeniu widokowych szczytów. Na Przełęczy Vartop spotykamy pierwszy śnieg. Na szczęście nie leży na drodze, a jedynie na pobliskich stokach. Jest już po zachodzie słońca i robi się całkiem rześko. Nikt nie chce się zatrzymać – tak fajnie się jedzie. Nikt nie chce być tym pierwszym zmarzlakiem. W końcu dojeżdżamy do tras narciarskich (oczywiście nie czynnych o tej porze roku), więc pojawia się dyplomatyczna wymówka do postoju i omówienia rodzaju stoków i wyciągów. Niepostrzeżenie każdy wyciąga podpinki i szczelnie się ubiera. Ciepłutko odziani lecimy w dół doliny rzeki Aries. Po drodze mijamy

kilka cygańskich wiosek - trudno je nazwać nawet wioskami. Zbite z kartonów, rozpadające się chaty wyglądają dość ponuro na tle innych miejsc, które mijaliśmy zaledwie kilkanaście minut wcześniej. Takich kontrastów jest w Rumunii sporo.

Zaczyna się ściemniać i czas pomyśleć o noclegu. Chcemy rozbić namioty na jakiejś ładnie położonej, widokowej polanie. Postanawiamy przejechać jeszcze tylko jedno miasteczko - Abrud. Na wyjeździe napotykamy na bardzo przyjemnie wyglądający pensjonacik, położony już poza zabudowaniami. Dlaczego nie zapytać o możliwość przenocowania?



Znowu z pomocą przychodzi włoski. Po krótkiej pogawędce okazuje się, że właśnie dzisiaj jest prawosławna Wielkanocna Niedziela. Pensjonat jest zamknięty, a mieszkający w nim ludzie to znajomi właściciela. Fakt, że właśnie są prawosławne Święta Wielkanocne zupełnie umknął naszej wadze.

Szkoda - już nastawiliśmy się na ciepłe łóżka. Tutaj spotyka nas pierwsza niespodzianka i pokaz rumuńskiej uprzejmości i gościnności. Ludzie rezydujący w pensjonacie dzwonią po właściciela, który odrywa się od świątecznego stołu i specjalnie przyjeżdża przygotować nam pokój. To naprawdę miły gest.

# Z DAŁA OD GŁÓWNYCH SZLAKÓW

Budzą nas pierwsze promienie słońca. Na zewnątrz jest rzeško – czuć zimne górskie powietrze. Ponieważ kuchnia jest zamknięta, robimy na kuchence turystycznej traperskie śniadanie z tego co mamy. Szybko pakujemy Księżniczki i w drogę. Pierwsza część dnia to dalej przejazd przez Góry Apuseni.



Cały czas śmigamy wzdłuż malowniczej doliny rzeki Aries. Ruchu praktycznie nie ma. Możemy potrenować technikę jazdy w zakrętach.

Na co dzień, w naszych okolicach nie ma dużo miejsc na takie treningi. Dojeżdżamy do Zlatnej –

miasta wybudowanego na potrzeby lokalnej kopalni.

Cóż to za odstrasające miejsce! Wszędzie walają się porozwalane, zdezelowane stare maszyny, domy sprawiają wrażenie jakby zaraz miały się rozpaść, do tego jest szaro i brudno. Lekki szok po urzekających górskich krajobrazach.



Po niezbyt długim błędzeniu (na szczęście) w poszukiwaniu bocznej drogi, czym prędzej uciekamy z tego miejsca. Z doliny pniemy się w góry, żeby przez zapomniane wsie Almasu Mare i Balsa dojechać do głównej drogi w pobliże Orastie. Asfalt na trasie szybko się kończy. Na chwilę pojawia się "płytkówka", która po kilku kilometrach zmienia się w szuter. Bardzo lubię jeździć po szutrach, pod kaskiem uśmiecham się do siebie.



Mijamy drewniane wioski. Przy każdym domu stoi poczciwy żuraw. Wygląda to wszystko tak, jakbyśmy cofnęli się w czasie. Najbardziej zachwycające są pasące się przy drodze konie, które na dźwięk, a może i widok naszych motocykli rzucają się do galopu. Zza płotów machają do nas dzieci. Jest pięknie. Po kilku godzinach, mocno przybrudzeni kurzem, ale szczęśliwi dojeżdżamy do głównej drogi. Od razu natrafiamy na pocieszny



pojazd składający się z małego osiołka ciągnącego kilkukrotnie większy od siebie wóz.

Może i droga jest "główniejsza", ale pojazdy w stosunku do tych spotykanych na szutrowych, górskich drogach wcale się nie zmieniły.

# CZAS SIĘ UKULTURALNIĆ

Po dwóch dniach delektowania się naturą, przychodzi czas trochę się ukulturalnić. Najpierw dojeżdżamy do Sebes - Alba, starego szeklerskiego miasta. Znajduje się tu przepiękna katedra z XII wieku, wybudowana w stylu gotyku siedmiogrodzkiego. Niestety jest akurat zamknięta, ale udaje nam się ją zwiedzić w powrotnej drodze. Warto przynajmniej rzucić okiem na ołtarz główny, jeden z największych i najpiękniejszych w całej Transylwanii.

## Ciekawostki - Szeklerzy

Szeklerzy zaliczani są do mniejszości węgierskiej, choć sami podkreślają własną odrębność językową i etniczną. Pochodzenie Szeklerów do dziś nie jest znane. Oni sami utrzymują, że pochodzą od potomków słynnego wodza Hunów – Atylli. Początkowo zamieszkiwali południowo – wschodnią Transylwanię. Ich podstawowym zadaniem była obrona granic na rzecz królów węgierskich, monarchów panujących przez wieki na tych ziemiach. Wszyscy Szeklerzy, podobnie jak Sasi, czyli druga historyczna grupa ludności zamieszkująca te tereny, od początku cieszyli się wolnością i wieloma przywilejami. Głównym wyznaniem Szeklerów jest do dzisiaj katolicyzm.

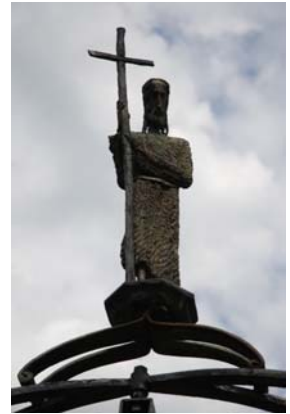
Po nieudanej próbie "wtargnięcia" do katedry kierujemy się do Alba – Julia, dawnej stolicy Transylwanii, której początki sięgają czasów rzymskich. Alba – Julia przez wiele wieków zamieszkała była przez katolicką ludność węgierską. Dopiero od 1918 roku, kiedy m.in. Transylwanię przyłączono do Królestwa Rumunii, zaczęły być tu widoczne wpływy prawosławne. W 1920 zaraz obok unikatowej katedry katolickiej, której początki sięgają X wieku, został zbudowany wielki sobór prawosławny, przytłaczający katedrę i całą okolicę. Rozmach i wielkość soboru wyraźnie wskazują na chęć pokazania prawosławia jako religii dominującej nad katolicyzmem.



Następny przystanek to Calnic, raczej mało znana wioska, w której zachowała się wspaniała twierdza z XII wieku będąca kombinacją feudalnej siedziby i zamku chłopskiego.



Kilkanaście kilometrów do Calnic usiłujemy przejechać drogami polnymi. "Dłuższa droga na skrót" to ulubiona przez nas formuła podróży. Czuję, że na szosowych oponach moja Księżniczka zaczyna tańczyć na błocie, które się tworzy pod wpływem padającego deszczu. Poziom adrenaliny od razu wzrasta. Zabawa kończy się drobną glebą, na szczęście akurat nie moją. Całemu widowisku przypatruje się zadziwiony mieszkaniec pola przez które właśnie mkniemy – kasztanowaty rumak.



Do Calnic jeszcze spory kawał przez wzgórza, a deszcz coraz większy. W końcu dojeżdżamy do małej asfaltówki i dalej w strugach deszczu toczymy się już asfaltami. Przed samym Calnic przestaje padać. Zza wzgórz wyłania się widok zamku położonego wśród pól kwitnącego rzepaku. Jaskrawo żółty kolor pól

pięknie kontrastuje z Gorąco polecam miejsc. Dla zachęty Pokoje gościnne wewnątrz murów zajmuje się ta sama



szarością zamkowych murów. odwiedzenie tego urokliwego dodam, że w zamku można spać. rozmieszczone są w celach obronnych. Zamkiem od lat rodzina Marincas, mieszkająca na

pobliskiej plebanii. Przy odrobienie zdolności negocjacyjnych można wywalczyć rozbięcie namiotu przy plebani. Kusi nas możliwość spędzenia nocy w zamkowych murach. Decydujemy jednak że jedziemy dalej. Deszcz przestał padać, jest dopiero 16, a na nas czeka słynna droga 67C prowadząca do przełęczy Urdele.

# JAK POZNALIŚMY RUMUŃSKIE DISCO-POLO, CZYLI W STRONĘ PRZEŁĘCZY URDELE

Asfaltową drogą, urozmaiconą przyjemnymi winklami pędzimy w stronę ośnieżonych Karpat. Kiedy zbliżamy się do dość znanej wśród motocyklistów drogi 67 C, na znakach zaczynają się pojawiać alarmujące, jaskrawo – czerwone napisy "Inchis". Nie trudno domyślić się, że chodzi o to iż droga jest od pewnego momentu zamknięta. Stajemy pod jednym z takich znaków. Od razu, z najbliższego domu wychodzi do nas starsza kobieta w chuście. Po rumuńsku usiłuje nas nakłonić do zawrócenia. Po chwili zatrzymuje się obok jakaś zdezelowana łada, z której pokrzykujący kierowca również daje nam znaki, że powinniśmy wracać. Mówimy dokąd chcemy jechać, a oni na migi pokazują że dużo śniegu, i że nawet wzbudzające respekt Afryki, nie dadzą rady (choć przed wydaniem



takiej opinii widać chwilę zastanowienia na ich twarzach). Usiłujemy wytłumaczyć, że wiemy że droga jest zamknięta i chcemy tylko pojechać maksymalnie dokąd się da, a potem zawrócić. Słyszając to robią mocno zdziwione miny: po co jechać w tę i z powrotem! Nie przejmując się reakcją i niezrozumieniem tubylców jedziemy dalej i pniemy się w stronę przełęczy Urdele.

Droga 67 C to kawałkami szutrówka, a kawałkami totalnie popękany asfalt. Większość drogi jest dość monotonna schowana w lesie - tylko co jakiś czas widać ładnie

prześwitujące ośnieżone góry. Dopiero na wysokości Jeziora Oasa, zaczyna się robić naprawdę pięknie.



Intensywna czerwień zachodu słońca odbija się w tafli jeziora, niewiarygodnie oświetlając całkowicie pokryty śniegiem, główny grzbiet Karpat. Dla takiego widoku warto było zapuścić się w górę 67C!

Kiedy dojeżdżamy do małej, nie utwardzonej drogi gruntowej, zaczyna się pojawiać śnieg. Dopóki

nie leży na całej drodze, jakoś udaje się nam ciągnąć do przodu i przedzierać przez śnieżne łąchy, choć oczywiście nie może obejść się bez "drobnej wpadki".



Przy jednej z prób przeprawy przez śnieg, Jurkowi porządnie uślizguje się tył motocykla. Z całym impetem, choć na szczęście na małej prędkości, uderza swoim bocznym kufrem, w

mój. Zaliczamy "wywrotkę synchroniczną". Ja lecę na lewo, na stok. Jurek daje nura dokładnie na przeciwną stronę, prawie lądując w przepływającym obok strumieniu. Na szczęście



zatrzymuje się na krawędzi. Perspektywa kąpieli w górskiej rzece o temperaturze około zera stopni, nie jest zbyt zachęcająca. Tym bardziej wyciąganie z dna płynącego w wąwozie strumienia wywróconej Afryki! Piotrek śmieje się z nas do rozpuku, cała sytuacja przypomina "czeski film". Niedługo po tej "artystycznej wywrotce", dojeżdżamy do śniegu, który przykrywa całą szerokość drogi, i przez który nie udaje się nam przejechać. To wszystko dzieje się jeszcze w granicach lasu, z którego nie udaje nam się wyjechać.

Najładniejszej części drogi, czyli odcinka prowadzącego przez przełęcz Urdele, esencji tego po co się tu przyjeżdża nawet, nie widzimy nawet z daleka. Trudno, trzeba będzie tu

kiedyś wrócić. A przedtem podszkolić umiejętności jazdy enduro, i w moim przypadku - zwiększyć masę mięśniową przydatną przy podnoszeniu nie najlżejszych Księżniczek. Zawracamy i lokujemy się na nocleg w pierwszym napotkanym schronisku.



To jest ciężka noc. Rozbawiona lokalna młodzież robi sobie dyskotekę do rana. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że tańce odbywają się w rytm rumuńskiego disco-polo. Pomimo najszczerzych chęci nie dajemy rady przy tym wysiedzieć. Spać też się nie da - każdy przewraca się z boku na bok. Przynajmniej nie zgasną nam piece kaflowe - jedyne ogrzewanie w pokojach. Rano totalnie niewyspani pozbywamy się szronu z motocykli i mechanicznie ładujemy bagaże. Po kilku dniach w podróży, mamy już w tym niezłą wprawę. W nocy na pewno było poniżej zera.

# ZDERZENIE CYWILIZACJI

Zjeżdżamy z gór i tym razem grzecznie, ruchliwą, główną drogą mkniemy do Hunedoary.

Na nowo trzeba się Hunedoara słynie z zamku z XV wieku. Zamek choć został zeszpecony czasów komunistycznych



przyzwyczaić do dużej ilości tirów. baśniowego, średniowiecznego wygląda niezwykle malowniczo, wybudowanymi zaraz obok za zakładami metalurgicznymi.

Ciężkie czasy komunistyczne zostawiły tu swoje piętno na długo. Zamek można zwiedzać w środku. Zostawiamy Księżniczki na podzamkowym parkingu, pod okiem kilku "pilnowaczy" i na kilka godzin zagłębiamy się w średniowiecznych murach. Panorama zamku okazuje się

zwiedzanie go od parking, akurat wycieczka chcą sobie robić Księżniczkami.

Z daleka radość sprawia na wielkich



bardziej efektowna, niż środka. Kiedy wracamy na podjeżdża jakaś młodzieżowa, i wszyscy zdjęcia z naszymi Chętnie się na to godzimy. obserwujemy jak wielką dzieciakom posiedzenie Afrykach.



Po krótkiej naradzie zmieniamy plany i zamiast, jak planowaliśmy, jechać na wschód wzdłuż północnej strony głównego pasma Karpat, jedziemy na południe. Decydujemy się objechać dookoła transylwańską część Karpat. Nadspodziewanie krętymi serpentynami (co w tych okolicach jest dla nas miłą niespodzianką), dojeżdżamy do położonej z boku głównych szlaków, prawosławnej cerkwi w Densus. Jest to jedna z najbardziej osobliwych i najstarszych cerkwi w całej

Transylwanii. Prawdopodobnie pochodzi ona z XIII wieku i została zbudowana z bloków



kamiennych pochodzących z rozbiórki rzymskich budowli.

Wygląda jak niezdarnie uformowana przez małe dziecko bryła z plasteliny. Taka architektura zaskakuje i jednocześnie zachwyca. Piękne miejsce, z ośnieżonymi Karpatami w tle. Smaczku dodają gęsi bezkarnie przechadzające się po cmentarzu otaczającym cerkiewkę i galopujące tuż za cmentarnym ogrodzeniem kare rumaki. Panuje tu magiczna atmosfera. Gorąco polecam odwiedzenie tego mało znanego miejsca.



# MONASTERY WOŁOSZCZYZNY

Następne dwa dni to przejazd przez boczne drogi Wołoszczyzny, południową stroną głównego pasma Karpat. Teren jest nizinny i jest wyraźnie cieplej. Mijane wioski mają bardziej śródziemnomorski charakter. Jedzie się przyjemnie, aczkolwiek dla mnie trochę zbyt monotannie, brakuje mi górskich winkli.



Dzięki decyzji o zmianie trasy mamy okazję odwiedzić słynny monaster w Cozia.



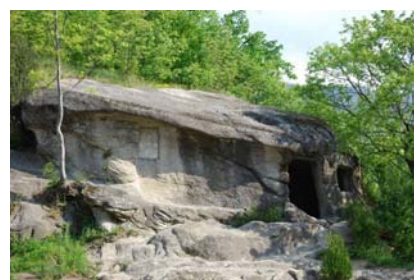
Jest to jeden z najcenniejszych zabytków Rumunii, który w XIV wieku nadał ton sztuce wołoskiej. Obok miasta Cozia, zbyt turystycznego jak na nasze preferencje, znajduje się jeszcze kilka poukrywanych wśród górskich zboczy starych monasterów. Warto wstąpić do kilku z nich, a najlepiej też przenocować. Jest to możliwe m.in. w

Monasterze Tanisoara i Monasterze Frasinet (tutaj tylko mężczyźni) po uzgodnieniu terminu z mnichami.

Nam poza Monasterem Cozia poblizu Monaster Turnu. przełomu rzeki Aluty, ostatni początku mieszkali oni w Cerkwie i obecnie istniejące



udaje się jeszcze odwiedzić położony w Dojeżdżamy do niego wzdłuż pięknego kawałek drogi po szutrach. Monaster przybyli tu z Monasteru Cozia. Na jaskiniach, które można oglądać do dziś. zabudowania klasztorne zaczęły

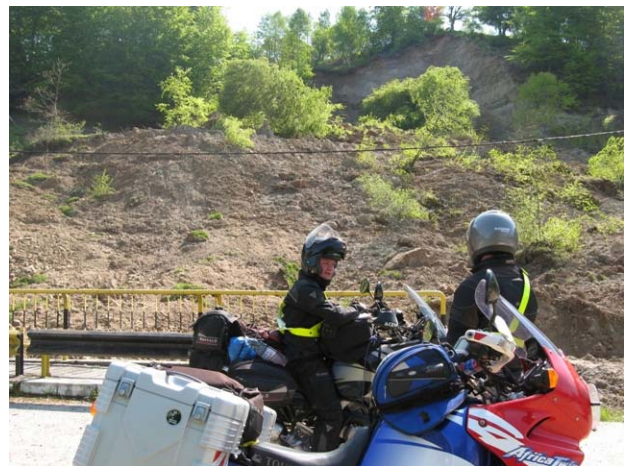


powstawać dopiero od XVII wieku.

Z Cozia wyjeżdżamy w stronę Curtea de Arges, starej stolicy Wołoszczyzny i bramy wyjazdowej na południową stronę słynnej trasy Transfogarskiej. Jak zwykle postanawiamy pojechać skrótem, który zgodnie z utartym zwyczajem okazuje się dwa razy dłuższy niż pierwotnie planowana trasa.



Tym razem, droga gruntowa którą wybraliśmy nagle kończy urwiskiem. Jak tłumaczą nam mieszkańcy lokalnej wioski, drogę zabrała ze sobą wiosenna lawina błotna.



Afrykami nie ma szans przejechać, może lżejsze enduro dałoby radę. Nie pozostaje nic innego jak zawrócić (to chyba jakieś deja vu) i grzecznie pojechać trochę główniejszymi drogami.

# CUD INFRASTRUKTURY, CZY UPIORNY POMYSŁ CEAUSESCU – SZOSA TRANSFOGARASKA



W Curtea de Arges rzut oka na cerkiew "Nową Metropolię", która łączy w sobie najpiękniejsze elementy sztuki serbskiej, tureckiej i ormiańskiej. Nie w głowie nam jednak delectowanie się pięknem architektury cerkiewnej – spieszmy się na przejażdżkę po szosie Transfogaraskiej.

## Ciekawostki - szosa Transfogaraska

Szosa Transfogaraska przecina Góry Fogaraskie, zwane również Transylwańskimi Alpami. Łączy Transylwanię z Wołoszczyzną. Niektórzy mówią o niej, że to "szczytowe osiągnięcie rumuńskiego socjalizmu". Jest to druga droga najwyższej położona w Rumunii – w najwyższym punkcie osiąga wysokość 2043 m n.p.m. Jej budowę rozpoczęto w 1968 roku, kiedy po wydarzeniach w Czechosłowacji, Ceausescu zaczął się obawiać wprowadzenia wojsk radzieckich do Rumunii. Szosa miała umożliwić szybkie przeprowadzenie wojska rumuńskiego na wypadek takiego ataku. Drogę ostatecznie otwarto we wrześniu 1978 roku. Szosa na całej długości jest otwarta jedynie przez 3 miesiące w roku, od 15 czerwca do 15 września. Ze względu na górski charakter drogi i sporą ilość winkli, jest to jedna z ulubionych tras motocyklistów.



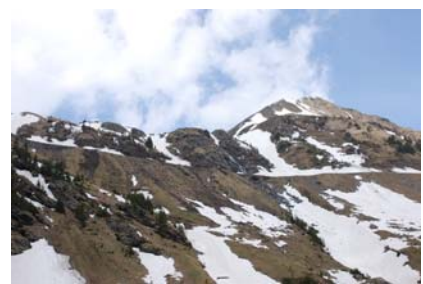
Wiemy, że nie przejedziemy całej trasy. Jest maj, więc na górnej części drogi zalega śnieg, a tunel na przełęczy jest zamknięty. Nawet enduro-maniacy nie przejadą. Z tą świadomością pniemy się w górę dokąd się da. Dojeżdżamy na 1536 m npm. Dalej nie da rady.



Na tej wysokości znajduje się ostatnie otwarte schronisko- knajpa i tylko dotąd odśnieżają.



Moje wrażenia z szosy Transfogaraskiej chyba nie do końca pokrywają się z powszechną opinią motocyklistów o tym miejscu. Całość jest



według mnie przereklamowana. Ładne widoki, ale na innych mniej znanych i niżej położonych drogach widzieliśmy ładniejsze. Serpentyń jest trochę, ale beznadziejna jakość asfaltu, żwir i piach na zakrętach i tak nie pozwalają się nimi nacieszyć "na całego".

Tak jest przynajmniej od strony południowej, strony północnej nie przetestowaliśmy. Ogólnie trasa dość monotonna, a ilość winklów w stosunku do długości całej trasy, niewystarczająca. Dla mnie, nie jest to wcale obowiązkowy punkt programu podczas motocyklowej wyprawy po Transylwanii.

# W KRAINIE WAROWNYCH ZAMKÓW

Po górskich przejażdżkach szosą Transfogarską wracamy na niziny, i główną drogą krajową nr 73 przecinamy Karpaty na północ. Zaczyna się "zamkowo-zabytkowy" etap naszej podróży. Zanim jednak udaje nam się dotrzeć do pierwszego zamczyska, spotyka nas na drodze zabawna niespodzianka. Kiedy delektujemy się jazdą po serpentynach pokrytych świetnym asfaltem, nagle, zupełnie niespodziewanie cały ruch zamiera. Zza zakrętu wylania się spokojnie człapiące stado owiec i kilku osłów.



Nie przejmując się faktem, że to droga krajowa, pasterze pędzą zwierzaki całą szerokością szosy. Na kilka minut zostajemy – my i wszystkie zastygłe wraz z nami samochody - otoczeni rzeką drepczącej powoli "wełny". Tego na krajówce się nie spodziewany. Jest to niezła przestroga na przyszłość!

Na pierwszy ogień idzie zamek Bran, nazywany, zresztą błędnie, zamkiem Draculi. Dracula w ogóle tu nie mieszkał, a mógł jedynie przebywać z krótką wizytą przejazdem.



Tym niemniej pomysł powołania się na Draculę, to niezły chwyt marketingowy, więc zamek w Bran jest zawsze oblegany przez turystów. To trochę cukierkowe i przesłodzone miejsce. Choć muszę przyznać, że sam zamek jest pięknie utrzymany. W Bran



spotykamy się z naszym kolegą, Alkiem, który podróżuje po Rumunii na V-Stromie. Przez kilka następnych dni nasze drogi będą się często krzyżowały. Dzięki Alkowi, po raz pierwszy mamy okazję spędzić noc w zwyczajnym, rumuńskim domu. Pani gospodyni, nie mówiąca oczywiście ani słowa po angielsku, szykuje nam tradycyjne, puchowe piernaty do spania. Wieczór spędzamy na motocyklowych pogawędkach przy ognisku, które rozpalamy w ogrodzie, zaraz obok obórki.



#### Ciekawostki - Dracula

Dracula jest najpopularniejszym symbolem Rumunii. Istnieje wiele legend związanych z Draculą i zamkami Transylwanii. W rzeczywistości była to postać historyczna i tak naprawdę bardziej tragiczna, niż straszna. Większość wskazówek prowadzi do żyjącego w latach 1431-1476 wołoskiego wojewody, Vlada Palownika, urodzonego w Shigishoarze. Do dziś jest on uważany w Rumunii za bohatera, który po zdobyciu władzy w gospodarstwie skutecznie i z poświęceniem bronił ziemi wołoskiej przed atakami tureckimi i węgierskimi. Więźniów pozbywał się poprzez nabijanie na pal, jednakże w tamtych czasach było na porządku dziennym. Był potężnym władcą, przez co zyskał sobie wielu wrogów. W wyniku zdrady został pojmany przez Macieja Korwina i przez wiele lat był przez niego więziony. Zginął marnie – jego wrogowie obcięli mu głowę. Do dziś nie wiadomo gdzie został pochowany.

Nazwa "Dracul" jest najprawdopodobniej ludowym przekształceniem nazwy rycerskiego zakonu Dragów, do którego należał ojciec Vlada Palownika. Po rumuńsku "dracul" oznacza "diabeł".



Jak już udaje nam się wyrwać z turystycznego oblężenia przejeżdżamy do nieopodal położonego warownego zamku chłopskiego w Rasnov.



Na rozległej równinie widać go z daleka – góruje nad miastem, położony na jedynej skale w okolicy. Zamek jest imponujący i na mnie robi o wiele większe wrażenie niż



przesłódzony Bran. Jest to solidna, świetnie zachowana fortyfikacja, założona w XIII wieku przez Krzyżaków. W czasach swojej świetności był to samowystarczalny gród, mogący pomieścić mieszkańców trzech okolicznych wsi. W środku warownych murów było właściwie wszystko: szkoła, piekarnie, sklepy. Zamek zdobyty został tylko raz, kiedy wojska oblegające twierdzę odnalazły źródło i odcięły

wodę. Po tym doświadczeniu wewnątrz fortyfikacji wykopano studnię, głęboką na 143 metry. Według legendy, studnię kopali przez 17 lat tureccy więźniowie w zamian za obiecaną wolność. Później najdłuższe oblężenie zamku trwało 3 lata, a zamek nie został zdobyty. Dziś zamek w Rasnov jest własnością prywatną i widać, że właściciel nie szczędzi środków na jego renowację.

#### Ciekawostki - zamki chłopskie

Zamki chłopskie są unikatowym elementem krajobrazu Transylwanii. Nie występują nigdzie indziej w Europie. Powodem ich powstania było ciągle niebezpieczeństwo najazdów tureckich. Znamienne jest to, że były budowane przez sam lud. Ich cechą charakterystyczną jest brak palatium – feudalnej siedziby włodarza. W obrębie murów zamkowych konstruowano budowle użyteczności publicznej takie jak np. szkoły, pomieszczenia mieszkalne i gospodarcze. W razie oblężenia zamki służyły za schronienie dla mieszkańców lokalnych wiosek, którzy chronili się w nich wraz z całym dobytkiem.



# BAJKOWY ZAMEK PELES

Z potężnej chłopskiej fortyfikacji przemieszczamy się w bardziej subtelne klimaty, do zamku Peles w Sinaia. Przez długo pełnił on funkcję wakacyjnej rezydencji rumuńskiej rodziny królewskiej.



Zamek zbudowany został w XIX wieku przez Wilhelma Doderera, niemieckiego architekta. Pierwszy król Rumunii, Karol I Hohenzollern, powodowany tęsknotą za rodzinnymi stronami nakazał wybudować zamek, przypominający jego rodzinne strony, Szwabię. W zamku, w każdym calu widać perfekcyjną dbałość o szczegóły, a całość robi ogromne wrażenie.

Według mnie zamek Peles spokojnie mógłby konkurować z zamkiem w Neuschwanstein, pierwowzorem charakterystycznego zamku Disneya. Wygląda równie bajkowo jak tamten. Koniecznie trzeba zwiedzić wnętrza. Przepychny, połączony z dobrym smakiem na długo zostaje w pamięci.

# BRASOV, ARTYSTYCZNE MIASTO

Z Sinaia mamy dojechać do Brasov, artystycznego serca Transylwanii. Droga, którą planowaliśmy jechać na północ okazuje się totalnie zakorkowana - wygląda gorzej niż polskie dojazdówki do dużych miast po długim weekendzie majowym. Z naszymi bocznymi kuframi nie mamy szans się precisnąć. Nie pozostaje nam nic innego, jak wdrożyć w życie "plan B". Szybko zmieniamy decyzje i jedziemy na południe, po to żeby dostać się na boczne górskie drogi i nimi, od drugiej strony dojechać do Brasov. Plan okazuje się strzałem w dziesiątkę. Trafiamy na dość mało ruchliwą drogę nr 1A, ze świetnym asfaltem i dużą ilością serpentyn. Bajka.

Co prawda, ta idylla zostaje trochę zakłócona przez deszcz, ale i tak mamy okazję posmakować najlepszych motocyklowych klimatów. Do Brasov dojeżdżamy już po zmroku, a w dodatku w ulewie. Zwiedzanie Czarnego Kościoła, z którego słynie Brasov musimy sobie odpuścić – jest już zamknięty. Kręcimy się po starówce i Piata Sfatului (placu głównym), gdzie właśnie rozpoczyna się jakiś lokalny koncert. Z głośników wyje muzyka, zupełnie się na wzajem nie słyszymy. Wygłodniali i przemoczeni siadamy w pierwszej napotkanej knajpie.

Przebiegły kelner namawia nas na steki. Są pyszne, choć w tym momencie pewnie wszystko by nam smakowało. Rachunek przyprawia nas o palpitację serca – to nasz najdroższy obiad w Rumunii. No cóż głodnych łatwo zwieść na manowce. Płacimy i zrezygnowani ruszamy w dalszą drogę. Na szczęście Alek, zarezerwował nam miejsca w jakimś pensjonacie 50 km od Brasov, które przejeżdżamy w ciemnościach i deszczu.

# KOŚCIOŁY WAROWNE, WIZYTÓWKA TRANSYLVANII

Przesyceni ilością zamków, postanawiamy odwiedzić Viscri - najlepiej zachowane w Rumunii miasteczko saskie, wpisane na listę UNESCO.



Większość Sasów w latach 90-tych opuściła to miejsce, ale klimat do dziś się zachował. Teraz żyje tu zaledwie 34 Sasów, a większość opustoszałych domów opanowali Cyganie. Co prawda recepcjonista z pensjonatu przestrzega nas, że droga do Viscri jest bardzo zła, a przy samym dojeździe cygańskie dzieci mogą być "niezbyt przychylnie nastawione do przybyszów".



Nie zrażamy się jednak tymi opowieściami. Pakujemy nasze Afryki i szutrami, momentami głębokimi na kilkanaście centymetrów, dojeżdżamy do Viscri. Jadąc cały czas myślę żeby tylko nie odpuścić ręki z gazu – oj źle by się to skończyło na głębokich, zupełnie nie utwardzonych kamyczkach. Viscri jest bardzo urokliwe, a powabu dodają

kwitnące drzewa rosnące tu właściwie wszędzie. Centralnym miejscem w miasteczku jest kościół warowny, którego budowę zapoczątkowali w XII wieku Szeklerzy. Od XIII wieku cała miejscowość została opanowana przez Sasów, a Szeklerzy przenieśli się na południowy – wschód Transylwanii.

### Ciekawostki - Sasi

Sasi przybyli do Transylwanii w XII wieku najprawdopodobniej z terenów Frankonii. Panujący wtedy węgierski król Gejza II, zaproponował Sasom osiedlenie się przy południowej granicy Transylwanii, w okolicach obcego Sibiu. Pełnili oni rolę kolonizatorską i obronną. Sasi szybko uzyskali terytorialną, polityczną i religijną autonomię, stając się trzecią (obok Węgrów i Szeklerów) uprzywilejowaną nacją w Transylwanii. W okresie komunizmu wielu Sasów zdecydowało się na wyjazd do RFN. Po upadku komunizmu proces emigracji Sasów jeszcze bardziej przybrał na sile, przyczyniając się do upadku wielu unikatowych saskich wiosek.

To pierwszy przez nas odwiedzony tego typu zabytek architektury. Kościół, wraz z obwarowaniami, jest doglądany przez staruszkę, którą, jeśli chce się wejść do środka, trzeba znaleźć w miasteczku.



Ponieważ z jej domu do kościoła jest spory kawałek pod górkę, energiczna staruszka proponuje, że zabierze się z kimś z nas motocyklem, jako pasażer. To się nazywa mieć energię życiową.

Uśmiechnięta staruszka ma taki wigor, że niejedna dwudziestolatka by pozazdrościła. Dodatkowo mówi kilkoma językami i zna wszystkie opowieści, i legendy związane z kościołem warownym w Viscri. Dla samej możliwości posłuchania jak opowiada, warto tu przyjechać. Dzięki niej mamy kilka chwil oderwania się od problemów współczesności.

### Ciekawostki - Kościoły warowne Transylwanii

Jednym z najbardziej charakterystycznych elementów krajobrazu Transylwanii są kościoły warowne. W całej Transylwanii jest ich około 300. Kościoły, podobnie jak zamki chłopskie, powstały ze względu na ciągłe zagrożenie tych ziem ze strony imperium osmańskiego. W celu stworzenia jak najbezpieczniejszego schronienia dla swojego dobytku, mieszkańcy transylwańskich miasteczek otaczali kościoły –najtrwalsze budowle – systemem obwarowań. Dobudowywano wieże obserwacyjno – obronne lub umacniano te wcześniej istniejące na potrzeby skarlane. Wewnątrz fortyfikacji zazwyczaj kopano studnie.

Na naszej dalszej trasie podróży znajduje się kilka słynnych kościołów warownych, m.in. Biertan, Valea Viilor i pięknie zachowanych miasteczek, takich jak Medias.



Odwiedzamy także Shigishoară – miejsce narodzin Draculi. Ponieważ kościoły warowne nie występują nigdzie indziej w Europie, trzeba się nimi nacieszyć właśnie w Transylwanii. Nam udaje się obejrzeć trzy budowle tego



typu i mam wrażenie, że to wystarczy.

Ich architektura jest podobna, więc po pewnym czasie przestaje się zwracać uwagę na unikatowy charakter budowli.

Zaczyna mocno padać i jakoś nikt nie ma nastroju na dalszą tułaczkę po zabytkach.



Z nadzieją, że przed największym deszczem dotrzemy do Sibiu, gdzie postanawiamy spędzić ostatnią noc w Rumunii, ruszamy z kopyta w drogę. Niestety mylimy się srodze, myśląc że dojedziemy susi. Ponieważ odległość do przejechania jest mała, nikomu nie chce się stawać, żeby wyciągnąć rzeczy przeciwdeszczowe. Po kilku porządnych oberwaniach chmury jestem już

porządnie mokra. Na własnej skórze przekonuję się, że nie ma żadnych rzeczy w stu procentach nieprzemakalnych, chyba że jest to gumowy sztormiak.

Do Sibiu docieramy wieczorem przemoknięci i głodni. Akurat tego dnia mam urodziny, i z goryczą myślę, że jeżdżenie na motocyklu w strugach deszczu nie jest najlepszym sposobem świętowania. Na szczęście niezawodny Alek, jadący trochę inną trasą niż my dotarł do Sibiu przed nami i zdążył namierzyć przytulny pensjonacik na starówce.

Zdejmujemy z siebie mokre ciuchy i wyruszamy w poszukiwaniu urodzinowej knajpki. Zły nastrój szybko wszystkim mija. Sibiu jest przepiękne – spokojnie może konkurować z idealnie odnowionymi starówkami stolic Europy Zachodniej.

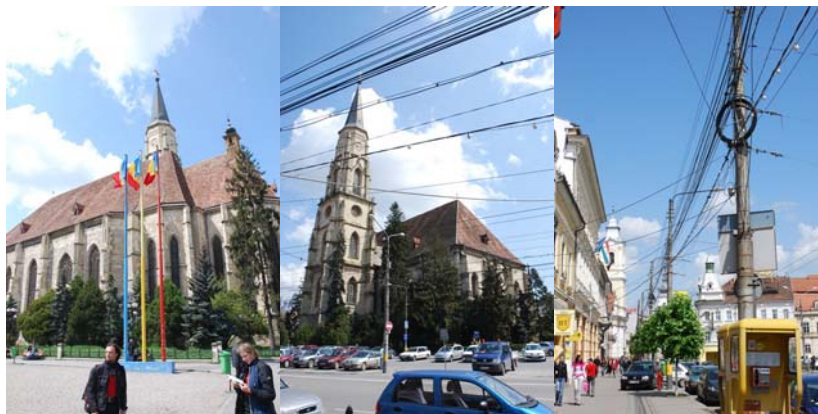


Świętowanie urodzin i opowieści z wyjazdu ciągnął się długo w noc. Szkoda nam wracać. Transylwania to wymarzony region dla motocyklistów. Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Fani off-roadu mogą tygodniami jeździć przez dzikie Karpaty.

Preferujący jazdę szosową mają do wyboru setki kilometrów różnej wielkości dróg, często niezłej jakości i sporo dobrze utwardzonych szutrówek. Dróg krajowych, niezależnie od tego że zazwyczaj są pokryte nowym asfaltem, nie polecam ze względu na duży ruch. Pewnie tu jeszcze kiedyś wrócimy. Czekają na nas karpackie drogi, a w szczególności przełęcz Urdele, no i dzika Bukowina.

# DO DOMU WRACAĆ CZAS

Decydujemy się na powrót przez Cluj-Napoca i Satu Mare, nieopodal którego przekraczamy granicę węgierską.



Śpimy w Tokaju, gdzie jak się z resztą spodziewamy, spotykamy wielu Polaków, wracających do kraju po długim weekendzie. W niedzielę chcemy jak najszybciej przeskoczyć przez Słowację, tak żeby odcinek w Polsce przejechać przed "główną falą powrotową".

Plany krzyżuje nam ulewny deszcz – leje jak z cebra non stop on Tokaju do Rzeszowa! Tym razem, już na samym początku, ubieramy nasze przeciwdeszczowe kurtki i spodnie. Dzięki ciuchom nie mokniemy, ale jednak kilka godzin jazdy w deszczu daje nam się znaki.

Wieczorem z tęsknotą oglądam przewodnik...